



# ALMANAX

## STUDENCKI

2023 VOL. 3

NR 2. LATO



吉野  
吉野



# Stopka

AlmanaX Studencki

Almanach Twórczości Artystycznej Studentów Uniwersytetu Gdańskiego

Vol. III 2023, Nr 2 Lato

Koło Naukowe Teoretyków Literatury UG

Patronat:

Wydział Filologiczny UG

Instytut Filologii Polskiej UG

Redakcja: Michał Bolek (Dział Przekładu), Joanna Danowska (Działy Plastyczne), Bartosz Dłubała (Dział Poezji, Ekspozytura Poznańska), Patryk Dzikiewicz, Dominika Plaskota (Dział Prozy, „W stronę fantastyki”), Grzegorza Kuczyńskiego (Ekspozytura Śląska), Alicja Smaruj (Dział Prozy „W stronę liryki”), Paulina Sokólska (Ekspozytura Krakowska, Dział Prozy „W stronę liryki”), Marysia Wrzeszcz (Dział Poezji), Aleksandra Zdanowicz, Maciej Dajnowksi (Bałagan i Opóźnienia)

Adiustacja, korekta, redakcja: Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?

DIY

Typografia i skład: Joa DIY

Concept art i oprawa graficzna: Yokai DIY & Joa DIY

Na okładce: Ohara Koson, 踊る狐 (1900-1910)

Gdańsk MMXXIII

© Julia Apanasewicz, Anita Badyniak, Paweł Banach, Agata Barszcz, Kamila Chmara, Bartosz Dłubała, Jeanne Duval, Michał Kołodziejczyk, Patryk Kominek, Stanisław Krzymkowski, Karolina Pianka, Róża Piotrowska, Paulina Sokólska, Róża Watracz.

© Almanax Zespół

Wszelkie reprodukcje rysunków, malarstwa, grafik, fotografii i innych takich zostały użyte w celach wyłącznie edukacyjnych i jedy-  
nymi dysponentami praw autorskich są ich właściciele. Zresztą tam,  
gdzie z takich lub owakich przyczyn zabrakło odpowiedniej adnotacji,  
pochodzą one na ogół z domeny publicznej Wikimedia Commons. :D

W składzie wykorzystano darmowe fonty Fisherman.

Numer zamknięto 27.10.2023 r.

**Kontakt:**

e-mail: [almanax.redakcja@gmail.com](mailto:almanax.redakcja@gmail.com)

Messenger: [m.me/100172365560354](https://www.facebook.com/messenger/messages/new?with_thread_history=true&recipient_id=100172365560354)

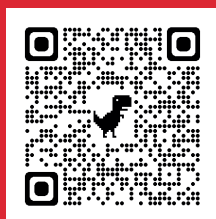
FB: <https://www.facebook.com/AlmanaX-100172365560354>

Instagram: [@almanax.almanach](https://www.instagram.com/almanax.almanach)

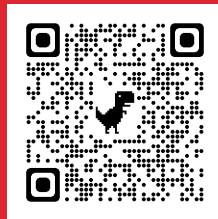
Tumblr: <https://almanax-almanach.tumblr.com/>

WWW: <https://fil.ug.edu.pl/wydzial/instituty/institut-filologii-polskiej/dzialalnosc-institutu/kola-naukowe/kolo-naukowe-teoretyko-w-literatury-ug/almanax-almanach-tworczosci-artystycznej>

Fejs



Inst



Stronka



Tumbler







## SPIIS TREŚCI

### Spis treści

### Wstępniak

<b>POEZJA.....</b>	<b>9</b>
Paweł Banach, <i>Małe miasta</i>	10
Paweł Banach, <i>Powrót do małych miast</i>	12
Paweł Banach, <i>Na podstawie Miodraga Pavlovicia</i>	14
Julia Apanasewicz, * * * [potłukli żelazka]	15
Julia Apanasewicz, * * * [żłobienia płytki żłobienia]	16
Julia Apanasewicz, * * * [pies rozwielitka]	17
Patryk Kominek, * * * [jak miło siedzieć]	18
Patryk Kominek, <i>Dwunasta (pół noc)</i>	19
Michał Kołodziejczyk, <i>niewyżyta muza się domaga</i>	20
Michał Kołodziejczyk, <i>biuro</i>	22
Karolina Pianka, <i>sabat mater dolorosa</i>	23
Karolina Pianka, <i>zamach stanu</i>	25
Karolina Pianka, <i>Czas</i>	27
Róża Watracz, <i>green noise</i>	29



Róża Watracz, <i>Chów klatkowy</i>	31
Róża Watracz, <i>Arachne boi się pajaków</i>	32
<b>PROZA.....</b>	<b>35</b>
Paulina Sokólska, <i>CIEMNOŚCI</i>	36
Stanisław Krzymkowski, <i>Harem króla Salomona</i>	41
Kamila Chmara, <i>Wspomnienie o końcu świata</i>	42
Agata Barszcz, <i>Zgniłozielonawy korpus</i>	45
<b>FELIETON.....</b>	<b>49</b>
Anita Badyniak, <i>Planeta</i>	50
<b>FOTOGRAFIA.....</b>	<b>52</b>
Bartosz Dłubała, <i>fotografie</i>	53
Róża Piotrowska, <i>fotografie</i>	55
<b>KOLAŻ.....</b>	<b>59</b>
Jeanne Duval, <i>kolaże</i>	60
<b>NOTY BIOGRAFICZNE.....</b>	<b>63</b>
<b>SPIS ILUSTRACJI.....</b>	<b>65</b>



## WSTĘPNIAK

TO JEST

EDYTORIAŁ

Będzie krótko.

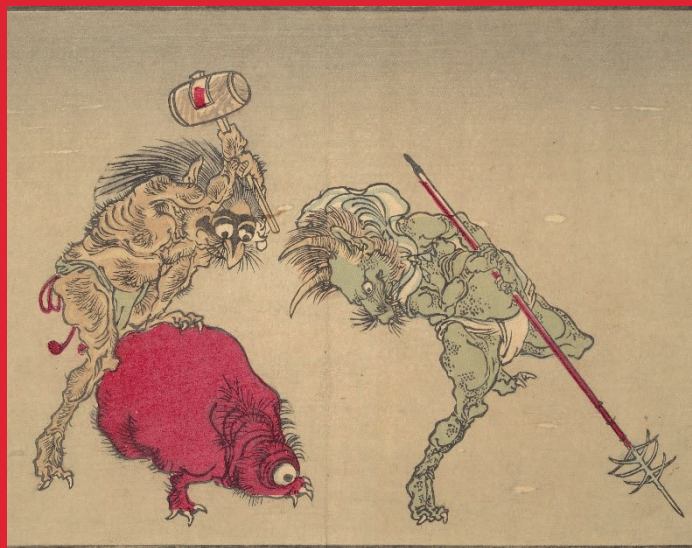
Tradycyjnie, po numerze zimowym, szast-prast i nie marnując czasu wypuszczamy numer letni. Jesień mniej więcej w połowie, więc można spokojnie rzec, że pracowaliśmy jak naspeedowani. :D [Votum separatum: ja byłem – Sekr.Red.]

Zgaduję, że jacyś śledziennicy będą się dopytywać, co się działo wiosną (no przecież wydawaliśmy numer zimowy) i latem (szukaliśmy, gdzie się zapodziały materiały wiosenne), i we wrześniu (we wrześniu było lato). A w październiku obalaliśmy reżim. A jak się wyjewalił, to tak dmuchnęło kurzem i popiołem, że nie szło nic w redakcji odnaleźć: „[...] nastąpiła ciemność gęsta w całej ziemi egipskiej przez trzy dni. Jeden drugiego nie widział i nikt nie mógł wstać z miejsca swego przez trzy dni”.

[Votum separatum: już ja wiem, czemuście z miejsca swego wstać nie mogli przez trzy dni – Sekr.Red.]

Czyli jak na partyzanckie warunki, poszło nam nieźle. To weźcie się odczepcie. Jak będziecie tak marudzić, to przegapicie rewolucyjne zmiany w układzie graficznym pisma. Po raz pierwszy swój autorski projekt prezentuje JOA. Nie chodzi wyłącznie o nowy układ, zmiany w łamaniu etc. Rzecz w znacznie nowocześniejszym podejściu do oprawy i doboru ilustracji. Nasz grafik/graficy – Yōkai – się obraził/obrażili i wyszedł/wyszli trzaskając drzwiami (kuchennymi). Ale zaraz wrócił/wrócili, bo akurat zamówiliśmy kebsa.

Poniżej ilustracja (kebs to ten czerwony, z widelcem po prawej – Yōkai, z młotkiem do sałaty pekińskiej – Yōkai).





A co tam w numerze? Dużo poezji, sporo prozy, kolaże. [Votum itd. Ja tam lubię rymy w wierszach i żeby były o czymś. A te opowiadania tych młodych poetów to również nie wiadomo, jaka puenta i jaką młodzież chcemy wychować. A takie będą rzeczypospolite, jak ich młodzieży chowanie. Też bym wolał, żeby artyści coś wyrażali na obrazach, a takie naklejanki tam, wycinanki, to tak trochę nie wiadomo, ale tamta ruda pani taka ładna, to już niech będzie. Chociaż można popatrzeć na coś, bo tak, to nie można. – Sekr.Red.]

To nie spać, zwiedzać. Kończę, bo zaraz mi się Sekretarz Redakcji znów z czymś wtryni... Zostaw! Spieprzaj, dziadu..., no zostawże to!

[Odgłosy szarpaniny cichną w jesiennej mgle.  
Stopniowy blackout...].

# POEZJA

## **Paweł Banach**

### **Małe miasta**

W małych miastach nie dzieje się nic ważnego,  
Kasandry wyjeżdżają z nich do większych ośrodków  
a Heleny co prawda wracają, ale tylko na święta.  
Domy nie rosną a ulice nie wydłużają się,  
latem widać traktory i rodzącą ziemię,  
zimą jest naprawdę cicho i może zabraknąć prądu.  
To tutaj przebywają wszyscy ludzie w średnim  
wieku, jak i starzy. Schorowani, bez środków,  
o których słyszymy w telewizji. Brak tutaj sił  
na przyszłość, jest spokojny nurt w przeszłość.  
Tutaj człowiek żyje naprawdę, bez udawania  
swojej marności. A jeśli mu się jednak coś uda,  
bez wahania odjeżdża najbliższym autobusem  
i do końca życia próbuje zapomnieć zapach.  
Woń potu, wytartych siedzeń i przemijania.





## Powrót do małych miast

Nigdy nikt na serio nie pomyślał  
z nas, że tu naprawdę da się żyć.  
Cóż były narzekania i podróże i cynizm  
i kopanie po męsku, choć tylko w głowie.

Lecz to wszystko zostawiać zaczęło ślady.  
Najpierw wyda się, że podróże to ucieczka  
a bogactwo to, jak w Starym Testamencie,  
objaw przychylności losu, dla tych co wydarli się  
z Sodomy i Gomory, grzeszący tylko i aż  
beznadzieją i poczuciem krzywdy.

Gdyby nie Balcerowicz, nikogo z nas by nie było,  
no, w takiej formie, o bycie zdecydował Bóg.  
I czasem śmiesznie jest, czasem miłość,  
czasem starość i młodość i płacz i pustka  
geograficzna, dostrzegalna nicość krajobrazu.

Nicość ludzka, ale przepych traw, barok ptaków,  
podkop cywilizacji pod glebą, no, puka.  
I czy naprawdę nikt z was nie pomyślał,  
tak nas zapytają, Michale, że to nie wy jesteście winni.

Ale te zapisy, te przelewy, wylewy i śmierci  
przyjaciół, obcych, zwierząt i czystych intencji.  
One są waszym wykupem i zbawieniem małych miasteczek.  
Bez rozbuchania, za to precyzją i głuchym milczeniem.  
Bez reklamowania, tak tylko się zbawić.

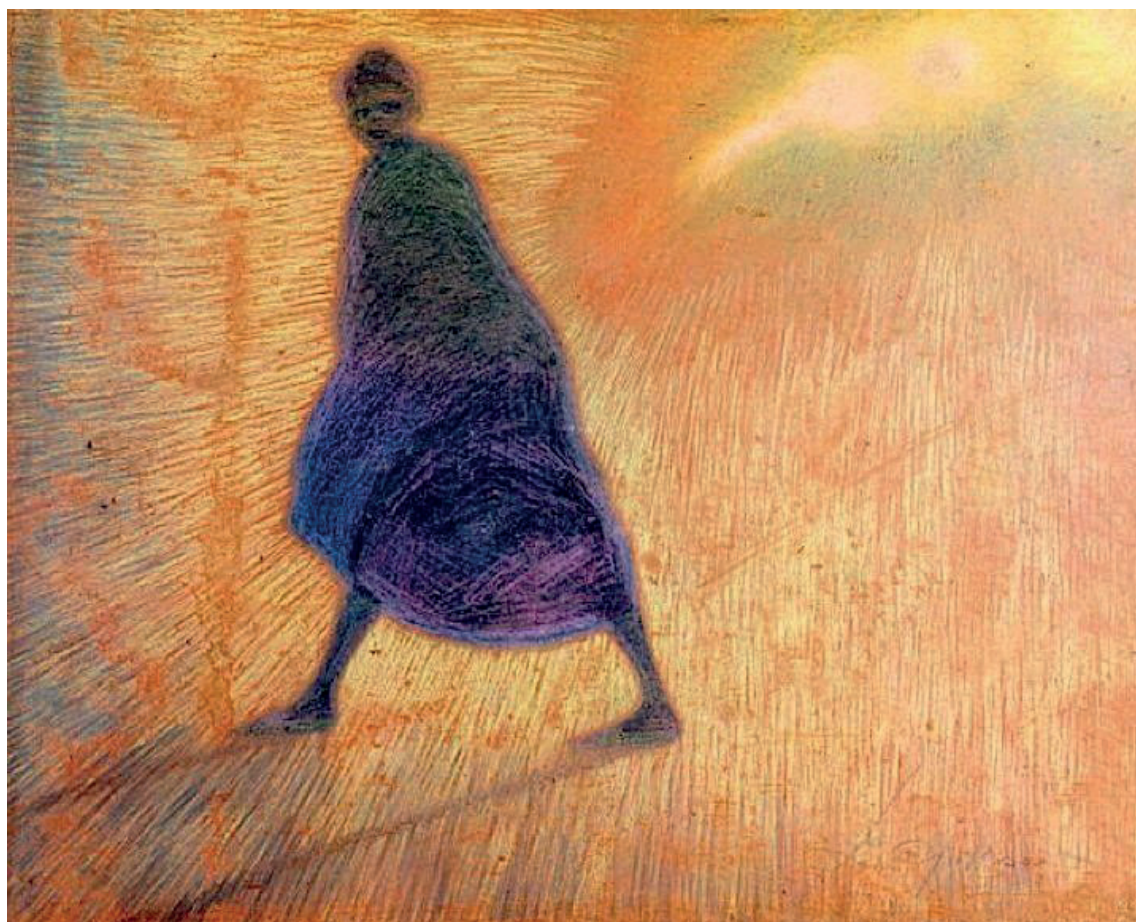
Nie karzcie powtarzać sobie.  
To ja ten trzeci, który zrobił to,  
co wy tylko opisujecie w swoich wódkach.

A czy ty, trzeci, też nie widzisz, zapędzony radością  
w miejsca, z których dobrze widać a czuć tylko wiatr,  
że właśnie dlatego, że można, dług pozostawiliśmy  
i przeczucie, że każdy mógł zrobić dużo więcej.

Może jeszcze zrobi. Może. I właśnie dla tej nadziei  
nie strąsamy prochu z nóg. Gdy wejdzie któryś z nas  
w wasze pałace, ukończone, czyli bez nadziei.

Cóż z tego, skoro zamiast nadziei, zależy wam tylko  
na wyjątkowości uciekiniera z ogrodu, jakich setki.

Nie pomyśleliście, że można tu żyć.





## Na podstawie Miodraga Pavlovicia

Dziedzictwem barbarzyńców są domy  
wypędzonych i zabitych właścicieli.  
Marmurowa kolumna w zapomnianym lesie,  
znaleziona przez otyłych grzybiarzy.

Zróbcie coś po swojemu,  
nie ogoławajcie domów i pól.  
Bo nigdy nie będziecie rozumieli  
czemu przemijacie bez echa.

Ale tak mówią ludzie pyszni,  
wychowani na krzywdzie nieporadnych.  
I to oni znikną jeszcze przed zimą,  
ustępując miejsca nowemu pokoleniu,

które nie będzie pamiętać,  
czego nie było uczone

## Julia Apanasewicz

\*\*\*

potłukli żelazka  
i nie da się krztusić  
karmimy rybiki pod wykładziną

bo co to robi trochę się kiwa  
wszystko co trzyma grzebie pod ziemią  
elbląg we wtorek poleciał w kosmos  
ponoć powłoki łatwo się gną

wyprute ścięga brudne węzłki  
tylko co w nas szczerbate nie zawsze

to co zmrużymy  
meble ze sklejki  
grudki supelki  
mokre tapety

zwinąć się przewlec skwierczeć po dachach  
w blaszanych pudłach  
a póki co

nosić się płasko (wszystkim wypada  
obrosnąć w tak rozkudłane żyły)  
gęstnieć i pluć do magnetowidów

wspólny naskórek nieść oburącz

\*\*\*

żłobienia płytki żłobienia są barki są dłonie  
jest kark  
przyjdą to wcisną rurę w migdałki  
trzeba maszynkę skrócić na nowo

jak się prześwietli widać dokładnie  
wykwit na przelyk blaszki celofan  
masa okruchów na metr sześcienny  
póki nie wbiegną nie każą gryźć

proszę się w trakcie gojenia nie targać  
nadto nie smucić stronić od sauny  
przemokłych komór Gdyni Sopotu  
(świeży aparat może zwilgotnieć  
a potem brzęczy i dudni na chodzie)

poźniej jak zajdzie taka potrzeba  
całość napuchnie zlepi się w strączki  
(co się nie wrośnie musi zakrzepnąć)  
prędzej się zwijać szamotać wyc

(świeży aparat może zwilgotnieć  
a potem brzęczy i dudni na chodzie)



\*\*\*

pies rozwielitka w cudzych mieszkaniach  
o!!!! nie zaskomle zbitka pod żuchwą  
zaraz nawrzeszcza w splotach żyjątku  
jak nie przylegać jak grzęźnie w pół

pies trzyma fason łaciaty piesek  
sznurek mleczaków w pierwszej skorupce  
przeżuwa meble rozplata włókna  
gniecie paliczki tupie po drzwiach

((zrywa przewody zagnieżdża porty))  
stuka twardymi spacjami po gankach  
byleby w pamięć podręczną w styki  
byleby ktoś za szmaciane łapki

zbitka nie tęskni ma swoje sprawy  
na głowach gardłach w knykciach szczelinach  
druty w śluzówce spruty kubraczek  
odprysk z kabelka wmięty pod bok

i co tam jeszcze przód nie do pary  
a jak to dobrze że uprzedzają  
pies rozwielitka w zsiniałym pyszczku  
wyniósł mi wannę z kuchni na bruk

## Patryk Kominek

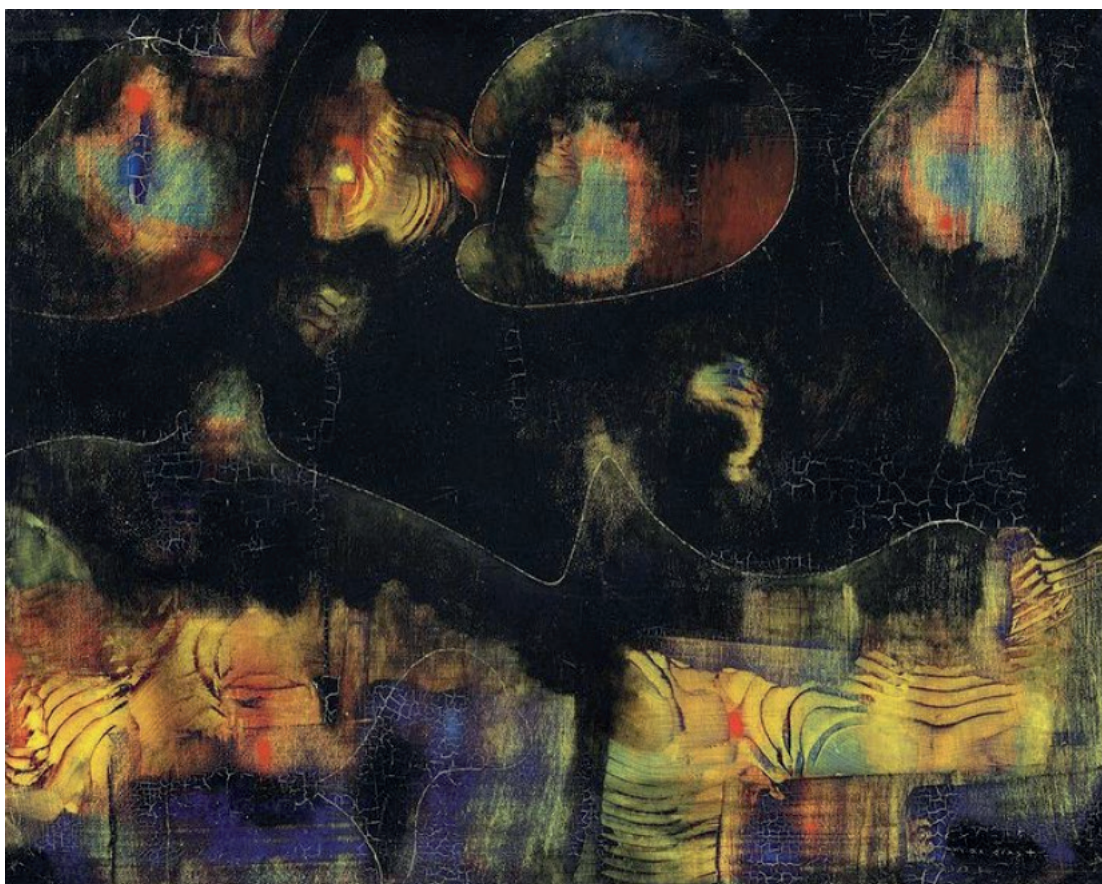
\*\*\*

jak miło siedzieć w domowym zaciszu,  
pod kocykiem, na tanim krześle,  
które zaraz się rozpadnie.  
w tle cichutko leci uspokajający pornos.  
Facet rżnie babę w dwie dziury.  
To musi być całkiem przyjemne. Chyba.  
Ja widziałem też, że robią To inaczej.  
A na razie jednostajne dźwięki ukoją mnie  
do snu żelaznego. Chyba.  
Ach! Ach! Ach...

## Dwunasta (pół noc)

Śnieg na piasku i piasek na śniegu  
ślady człowieka cywilizowanego.  
Najciemniej pod latarnią mroczne odbicia  
pod osłoną nocy więcej niż za dnia widać

Wychodzą na ulice jęki wszystkich dni  
faluje bruk, coraz bardziej niebezpieczny  
z upłynnięciem godzin  
upłynniają się ciała  
i spływają kratką do grobu  
oczyszczalni



## Michał Kołodziejczyk

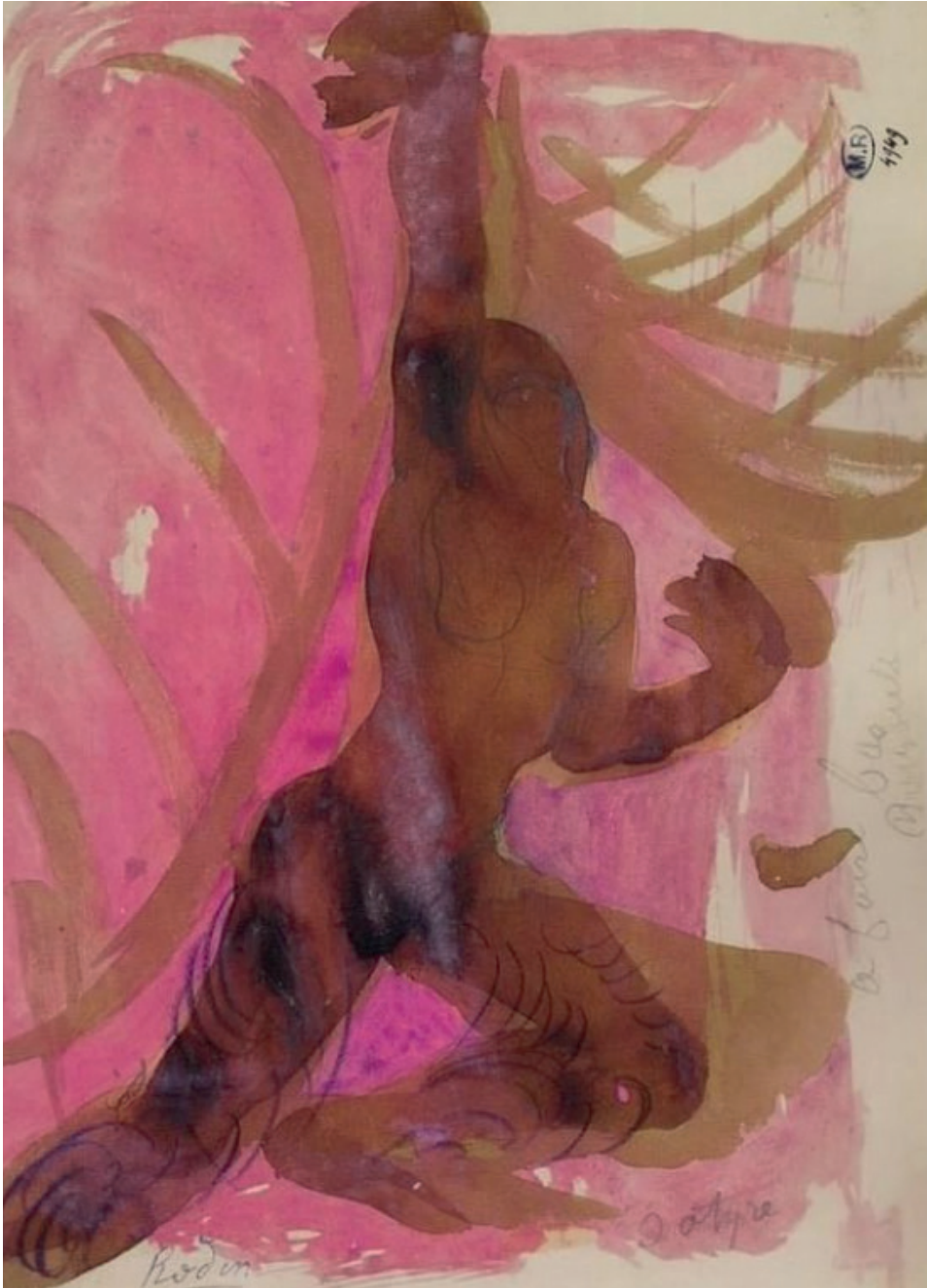
### niewyżyta muza się domaga

zwiedzam miasto  
klubowe miejsca jak farby dla szarego oddechu  
uznane przez pole galerie  
kulturalna podszewka poznania prześwidruje  
wszystko z czym wejdę w kontakt  
może nawet zapale  
papierosa  
do wody z cytryną  
wrzucę  
material zacznie tętnić  
później

zwiedzam ciemne zakamarki  
bezdomni grają w chowanego z deszczem  
powietrze jest bezdomne  
bad roll of a dice  
nie wraca do tego co było przed przebudzeniem  
puszczalska uwaga  
dla ciebie jej zabraknie  
płonę pod siódmką zamiast powietrza  
skradziony układ krwionośny  
wybucha kwietniem

zwiedzam łatwą świeżość  
jak wąsy na monalisie  
jestem zbrilony  
puszką coca-coli  
jestem aktorką porno  
więc nie muszę pamiętać tekstu





6

## **biuro**

rozpędzona maszyna

mięsem żywiona

bez eko dodatków

wlewa w mózgi

wlewa masę w formę

ukształtowana masa

mięsem żywiona

zastyga

## **Karolina Pianka**

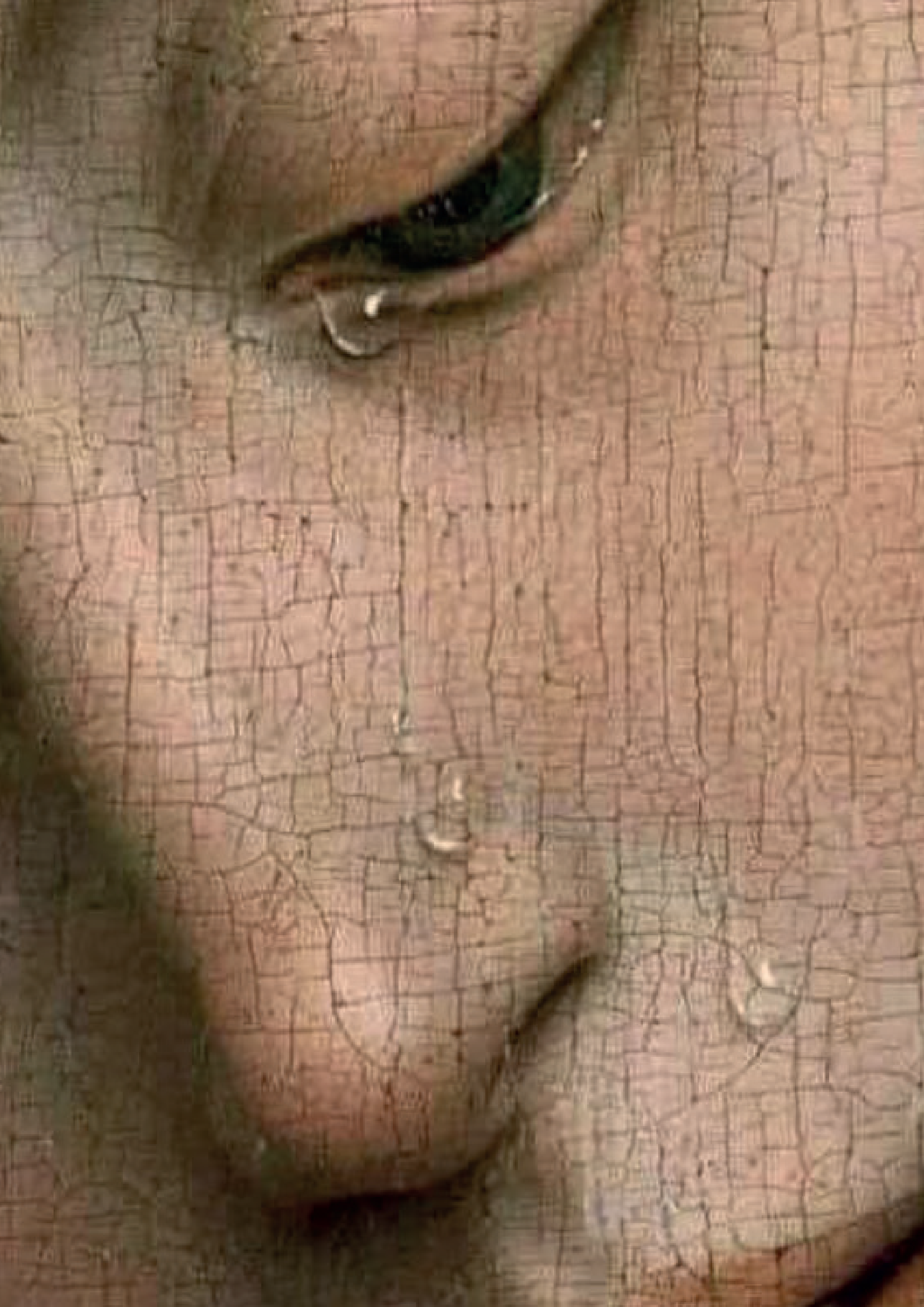
### **sabat mater dolorosa**

obrazy naszych matek  
usidlanych w życiowe katastrofy  
placzą bezgłośnie po nocach

historie naszych matek  
dają początek naszym rozczarowaniom

patrzemy na nasze matki ze współczuciem  
nie dają sobie rady same ze sobą  
a jeszcze nami muszą się opiekować

klęski naszych matek  
pozostają tylko w zasięgu naszego wzroku



## **zamach stanu**

dawać życie małym sosnom  
tylko po to  
aby za kilka lat odbierać istnienie  
ich dzikim siewkom

młode pokolenie jest przecież  
niewystarczająco dorodne  
rośnie w nieregularnych odstępach  
a ich materiał genetyczny  
nie dorównuje w najmniejszym stopniu  
jednostkom wybranym

natura natury  
nie rządzi się już swoimi prawami

to my decydujemy  
które z drzew są  
n a d r o ś l i n a m i  
rasą bardziej uprzywilejowaną

lepszą?

czy żyjemy w błędzie?





## Czas

Drocę się z czasem  
podszczypuję, zagaduję, zalotnie spoglądam  
Czasami uda mi się wywalczyć minutkę  
wówczas poświęcam ją na patrzenie  
w tarczę zegara

Cieszę się z mojego tryumfu

Przestój wskazówki powoduje zagęszczenie atmosfery,  
co prawda oddycha mi się ciężiej,  
ale poświęcę wszystko dla tej chwili

Pokornie uniżony czas, wraca, kłania mi się  
i pyta o pozwolenie powrotu do naturalnego biegu

Nie może

Dopóki stężenie tlenu w mojej krwi  
nie spadnie poniżej normy zalecanej dla istot żywych

Wówczas mój tryumf nad czasem, atmosferą,  
pędzącą w żyłach krwią i ostatnim oddechem  
zdaje się trzymać przy życiu całą ludzkość

Ja wytrzymam dużo  
Ile czasu wytrzyma czas?



## **Róża Watracz**

### **Green noise**

Syntetyczne wyciszenie wprost  
Do uszu sączony zielony hałas  
Uspokajający szum  
Wycisza wykwity miejskiej dżungli  
Tu wszystko co chodzi chce cię

Zabić

Krażące ulicami pasożyty  
Odciać główne arterie  
Odizolować chore tkanki  
Zielone światło  
Na każdej przecznicy

Rozstawić karmniki deratyzacyjne  
Ciało powoli wysyci się  
Niebieskim światłem brudną bielą  
Czysta występuje na górze  
Szkłana podłoga na dole  
Szczurzy sufit

Kiperzy są zgodni  
Kawa z Żabki pachnie śmiercią





## Chów klatkowy

Dochodzi piąta po zmianie  
Czasu jest więcej gdy śni się  
Krótszymi gęstymi latami  
Lunatycznie wchodzi w kolejne  
Dłuższe okresy wegetacji

Ruch niejednostajnie przyspieszony  
Bezwzroczny ruch do przodu  
Ruch pozorny  
Zatrząsk 24 klatek na sekundę płynny  
Falujący obraz w pełnym słońcu  
Skrócony dziób niemota  
Wykształcona kurza ślepotą

Czujące niepatrzenie  
Klatka po klatce  
Ślepej kurze parno  
Jazda  
Najważniejsze żeby nie patrzeć na kraty  
Płynna jazda  
Prosto w kwietniowe w majowe  
Wykolejenie



## **Arachne boi się pajaków**

In girum imus noctes et consumimur igni

To upajające

Zagęszczać sieć

Kosztownością własnego ciała

Tkać misterny wzór

Nieustannie płodząc

Rozciągać horyzont

To upajające

Widzieć siedmiomilowe skoki

Ośmiolatek w dwa lata

Po stadium nimfy

Cztery pary oczu

Eliminują martwe pola

Podczas gdy jedna

Szuka światła w ciemności

Pierwotne i wtórne

Splątane

Zacieranie opozycji

Obieranie pozycji

Rewolucyjna redefinicja

Podstawowych pojęć

Uzupełnij kwadrat magiczny  
Ze słowem pajak

Potwierdź, że jesteś robotem







# PROZA



**Paulina Sokólska**

## **CIEMNOŚCI**

A nad głębiami Duch — gasi gwiazdy — i rozżarza wizje, świetniejsze od gwiazd.

Kolloseum, Tadeusz Miciński

W czwartek przyśniła mi się formalina. Unosiła się w pokoju pasmami lekkiej plazmy, które rozdzielały się na pojedyncze wstęgi wodnego, zielonkawego światła. Patrzyłam nieruchomo, jak z szarej omroczy występują półpłynne błony, szukając się po omacku w przyszłych, nienazwanych jeszcze kształtach.

Śniłam stare, zmętniałe powietrze w pokoju niewietrzonym od tysiącleci. W czarnej wnęce majaczył kształt łóżka z wybrzuszoną pierzyną. Kto tutaj mieszka? Kto leży? Meble obłożono białymi płachtami. Lustra zakryto czarnym atlasem. Wszystkie powierzchnie zaścielala miękka powłoka kurzu spływająca bezgłośnie w załomach draperii. Powietrze, pokój, wnęka, kurz, materiały. Wszystko wyodrębniło się kolejno.

Lecz na początku przyszło ćmienie. Z ciszy — więc była cisza? — zaczęły wyrażać się przezroczyście dźwięki, puste łupiny fonii — jakby zachowała się pamięć jakichś słów, lecz za słowami nie stały już żadne obrazy. Zrazu nieśmiało, tępe mrowienie przybierało na sile, stopniowo, niby swędzenie albo dreszcz ciepła rozchodzący się po zdrętwiałej kończynie. Skojarzenia ciągnęły zewsząd mimowolnie, jak przyciągane olbrzymim magnesem. Czym były? Rwane impulsy, szklane głosy w próżni. Skąd szemrały, komu? Jedne za drugimi, materializowały się z nagłą, wylupując dla siebie kolejne bryły ciemności. Rozjarzały się znaczenia.

Już wkrótce głoski, kaskady głosek, nacierały oszalamiającą lawiną. Ból, oddech, myśl, postać. Ja. Rozpoznałam się w śniącym ciele na łóżku. Budziłam się opornie, z niechęcią przyjmując każdy przedmiot, który stawał przede mną kształtem, każde odpomniane czucie, które mogłam na nowo wyrazić.

Tam, skąd przybywałam, nie było słów. Dni i noce — znałam je kiedyś — miały jednakową gęstość, przeżarły się nawzajem i strawiły w jedno. Ogarnęła mnie żaloba za tym stanem, w którym nie było nic



osobnego. Zanim świat został nazwany, żyło się w nieskończoności.

Pojedyncza łza opadła z policzka, bo uśmierciła ciemność, która przed chwilą jeszcze była w miejscu łzy, opadania, policzka i śmierci. Chwili. Co to za wielkie szczęście, które o sobie nic nie wie. Ze ściśniętym gardłem witalam przedziwnie wróconą mi zdolność mowy i pamięć nie swoich słów. Strzępy. Za pozólkłą rozmięklą szybą, za ścianą z bluszczu być może Ziemia wciąż obracała się wokół jaśniejącej gwiazdy. Słońce, słońce – dlaczego w miejsce obrazu żal? Chociaż z ciemności wylaniały się kształty, pokój pozostawał spowity w mroku, niezmiennie, może od tysiącleci.

A potem przyszła formalina. Nie wiem, czy „przyszła” to dobre słowo. Znikąd zaczęła wdzierać się blada, drżąca poświata, jakby (znowu w przeblysku) zajaczki puszczane na ścianie w letni dzień: ciepłe falujące refleksy, mniej materialne od wody, ale bardziej od światła. Sny, jeden z nich, bez wątpienia.

Stopniowo z ciemności wysączał się żółtawy blask podobny do łuny próchniejącego drewna i wypełniał półprzejryste lejące się bańki. Te zaś odrywały od siebie mniejsze krople jak przedziwna pączkująca roślina. Miejscami widmowa ciecz rozplywała się w jedwabistym cieniu, omdlewała, jakby na próbę, aby po chwili na nowo rozjarzyć się fosforycznym blaskiem.

Zimne kosmiczne światło – podobne ostaje się po śmierci gwiazdy. Nie przypuszczałam nigdy, że wszystko skończy się tak po prostu; że jasność w dniu stworzenia będzie jak tłący się neon – pierwsza, bezbrzeżnie smutna. I świat nie zrodzi się w iskrach, ale w lodowej zorzy.

Bezforemny fluid dryfował, rozlewając się w plamy, które układały się miękko niby do snu. Z czasem przybywało ich więcej. Wkrótce odstałe powietrze wypełniały całe ławice, galaktyki światel. Falowały pod sufitem leniwie jak senne meduzy.

Kilka bezwiednie sfrunęło do wnęki, w której leżało moje ciało. Gdy u wezłowania rozpierzchły się cienie, blade światło dotarło do skroni i zapaliło oczy, wypukłe, błyszczące jak u ryby. Na dnie źrenic gorzały rozjarzone punkciki – odbicie. Bańki wodnistej plazmy skupiły się wokół głowy, po czym ruszyły w jednym kierunku, wolno, miarowo. Nad rozsypanymi włosami zataczały kręgi. Święta, święta, święta.

Zapraęnęłam je dotknąć. Wyciąęnęłam w górę dłoń z pię-

cioma palcami, brodząc w powietrzu kolistym ruchem. To jest moja ręka. Plamy formaliny rozpraszały się, uciekając przed pobladłymi opuszkami. Wyprostowane ramię wyglądało jak przedziwny ukwiał.

Poruszając się, zostawiało za sobą ślad blednących hologramów, bo zwielokrotniony obraz nie nadążał za ruchem. Miałam wrażenie, że opuszczam własne śniące ciało, miękko i bez wysiłku tak, jak rozdzielają się warstwy papierowej serwetki. Zdało mi się, że unoszę się w powietrzu opleciona przez cienkie srebrne nici. Na plecach czułam chłodny dotyk zwiewnej tkaniny, jakby płaszcz utkany z łez.

Czyje to lzy? Naraz w rdzeniu czaszki podniósł się głośny turkot. Koła złych północy zerwały się gwałtem z osi i dudniąc, popędziły po zapomnianych duktach. Na równinie porzniętej w cztery krzyżowe drogi każde gnało z osobna, wybijając pogański, ustokrotniony rytm.

W podwojonej wizji ujrzałam brokatowy pył gromadzący się w centrum pokoju. Bańki formaliny – miniaturowe gwiazdy skupiły się w konstelacje wokół niemal materialnego, lewitującego cienia. Ten cień miał ludzką postać. Póltwarz zastygła w nieodgadłym grymasie, zmartwiały opuszczone bezwładnie członki, lecz tors grawitował ku górze siłą nieznaną woli. Luminescencyjne krople poczęły grupować się w linie, tworząc sznurki światel odchodzące od wiszącego kształtu. Wstęgi, włókna, powrozy?

Jakaś moc szarpnęła mną żywo, lecz w tej samej chwili coś ściągnęło mnie z powrotem i zamortyzowało uderzenie. Po wyboistych szlakach dalej w dzikim pędzie obracały się koła. Wykrzywione obrazy napierały boleśnie. Załamane ramiona, łkanie z wysokiej wieży, siedem strug srebra ciekących na blade, wdowie dłonie. Jak oszalałe wrzeczona gdzieś toczyły się tarcze rozwalonych zegarów. I wtedy wreszcie pojęłam: ta, która unosi się w powietrzu, to ja.

Byłam. Miałam w sobie gwiazdy i księżycy, całe niebo osiadłe w moich płucach. Miechy poszły w ruch i rześkie tnące powietrze wraziło się we mnie milionem srebrnych kolców. Haust do dna – przesywający ból rozognił klatkę piersiową. Faktura skóry z każdym porem, splot prześcieradła, ciężki, zawilgły smak pleśni – nigdy nie czułam wyraźniej. Wciągałam nosem włókna potłuczonego szkła, igły ostrego szronu, a serce rosło wbrew sobie: mocno, radośnie. Żyłam.

Z wróconym językiem wróciło życie, tamto stracone. Umysł zajęły jaskrawe widma. Stały przede mną nieba, rześkie i pełne rosy, smut-

ku o czwartej nad ranem. Nic poza nimi, naprzeciw mnie wszystkie dni w czasie przeszłym. Będę powtarzać świty, zmięte, bezsenne koldry, każdą myśl o niej jednej. Miałam wrażenie, że się osuwam w rozżęconą czełuść, jak w tubę kalejdoskopu. Zza mostka promieniował tępy gwieździsty ból. Moja wina, jedyna, moje nieba i Słońce, nigdy nieodżałowane.

Pośród miliona innych objawień gubiła się i rozplywała, coraz słabiej uchwytana, ale nie mniej realna. Im chciałam rozpaczliwiej, tym bardziej coś wzbraniało mi przypomnieć sobie jej głosu, jasnych kosmyków nad czołem. Nie pamiętałam ciała, ruchów, stukania kroków. Wiedziałam już, że dla zmysłów straciłam ją bezpowrotnie. Świetlista formalina wlała mi się w źrenice i nagle przeszył mnie żal bez granic. Zobaczyłam ją w krótkim przeblysku. Była cała ze słów.

Wówczas zrozumiałam, że przyjdzie dzień, gdy każda dziura wywróci się na nice. Otwarte galaktyki na wewnętrznym obiciu powiek utworzą nowy kosmos, dla którego ten nasz będzie się zdawał odległy i mglisty jak sen. Ukażą się czarne rzędy liter wytatuowane po wewnętrznej stronie skóry, a ziemia odda nam naszych umarłych.

I pomyślałam: to dziś. Szepty i ciągi głosek wionęły z głębi. Coś rozszczelniło się lekko, spod wieka jakiejś odległej, bezdennej studni wysączały się słowa niczym z otwartej rany. Bóg wie, jak długo czekały na tę chwilę. Nieprzerwanie lały się we mnie, osypując się złotym pyłem na ustach. Przybywały bez końca i gdyby chciały, bez trudu mogłyby przykryć całe istnienie wielką płachtą-calunem. Pogrzebałyby świat. Nie, nie kara. Przestroga.

Opiszę wszystko. Inaczej nic się nie zmieni. W zakonserwowanym kurzem mieszkaniu formalina unosiła się wokół lewitującego ciała. Przedłużała trwanie w nieskończoność. Sztuczne, piękne, straszne życie.

I wtedy wszystko nabrało sensu: wzburzona krew w korytach żył, powódź słów u tam krtani, sznury łez, sznury pereł, opowieść pisana czerwonym atramentem, lawiny iluminacji – wszystko płynie. Tylko czas stoi w miejscu;



**Stanisław Krzymkowski**

## **Harem króla Salomona**

Owijala jej teraz ramię szmatką. Krew wsiąkała w materiał, oby szybko zakrzepła. W małym pokoiku paliła się tylko lampa olejna, łóżko było w chaosie. Poza rzadkimi jęknięciami z bólu, które Milada wydawała z siebie przy zakładaniu opatrunku, spokój półmroku pozostawał niezmacony żadnym dźwiękiem.





**Kamila Chmara**

## **Wspomnienie o końcu świata**

Piasek był zimny i mokry. Nie znosił samotności, więc lepił się do bosych stóp, a gdy przez nieuwagę włożyło się go do ust, zgrzytał pomiędzy zębami, roznosząc na języku gorzki smak sprzeciwu. Jego rozległe przestrzenie zapelnione były widelczykowatymi gentelmenami, łyżeczkowymi księżniczkami i wyblakłymi od słońca dinozaurami. W tym świecie nie było jednak miejsca ani na krew, ani na rozrywane plastikowymi szczękami wnętrzności, toteż kolorowe bestie ziały wyłącznie wypełniającym ich brzuchy piaskiem. Pokrywały nim ciała zuchwałych rycerzy i przysypywały doliny. Były siłą natury, dla której nie istniała różnica pomiędzy destrukcją a rozwojem, toteż oblegane przez dinozaury kotliny niemal natychmiast przeradzały się we wzgórza, a duszące hałdy piasku w płucach podróżnych przypominały o jedynym liczącym się tam lęku. Lęku przed zapomnieniem.

Od czasu do czasu liczne tereny budowy oddawały z siebie nie tylko uschnięte korzenie wyrwanych niegdyś traw, ale również ciała ofiar grząskich wydm. Odratowani nieszczęśliwcy wracali do świata złamani, rozumiejąc, że wszystkie historie, do których należeli, rozgrywają się teraz bez nich. Wówczas, samotni i bezużyteczni, udawali się na miejsce dawnego pochówku. Klękali przed bramami nowo wybudowanych zamków, na murawach świeżo otwartych boisk, wśród kwiatów i chaszczki. Nie cierpły im kolana, nie przeszkadzał upał, nie doskwierał głód ani pragnienie. Klęcząc, latami wznosili modły do ciemnego piasku, który niegdyś wyziębiał ich plastikowe ciała. Najdotkliwsza była bowiem tęsknota za spulchniającymi ziemię robakami i ich straszliwymi, opowiadany do snu historiami o końcu świata.

Topografia miasta była prosta – gdzie okiem sięgnąć piętrzyły się nieukończone fosy, dywany nadgniłych liści i szczątki porzuconych opowieści. Ten jednoczesny rozpad i rozrost był wolnością, której nie determinowały wyroki gwiazd i rzucane na wiatr słowa przepowiedni. I tylko ta plastikowa swoboda plastikowych dusz była w stanie zapewnić towarzystwo malej, znudzonej dziewczynce, która przedyskutowała ze sobą wszystkie

ważne sprawy, wytropiła wszelkie warte uwagi tajemnice i zwiedziła każdy zakątek rozległego ogrodu swoich rodziców. Gdy dotarła do miasta, nikt nie dziwił się jej podatnemu na zranienia ciału, dużym stopom, które bez lęku zagrzebywały się w piasku, czy miękkim dłoniom, które bez cienia sprzeciwu zaprzęgnięto do najcięższych prac. Nie-plastikowa dziewczynka pasowała do tego świata, dlatego, że pasowało do niego wszystko.

Gdy mieszkańcy miasta byli grzeczni – słuchali rodziców, brzydzili się kłamstwa i zjedzonej w piątek szynki, dobry bóg zsyłał im wodę i wiatr. Woda była niezbędna - pomagała wznosić potężne pałace, usypywać góry i powoływać do życia nawet najbardziej niebezpieczne zwierzęta. Wiatr natomiast nosił w sobie historie. Porywał krzyki, które wybrzmiewały z lęku przed ciszą i wciskał je w każdy kąt pustynnego świata. I nikt nigdy, nawet sam dobry bóg, nie słyszał takiego hałasu i nie doświadczył takich zamieci.

Życie łopatek, wiaderk, a nawet strasznych, wyblakłych od słońca dinozaurów pęczniało, puchło i przelewało się w słowach, a dobry bóg poczuł, że było to złe i zesłał na nie śmierć. Nie było ostrzeżenia, wiatru ani wody i wbrew temu co wszyscy sądzili, apokalipsa była przeraźliwie statyczna. Ojciec nie powierzył tej pracy nikomu i nocą, gdy wszyscy spali, zniszczył pustynię, wywołując jej zgliszczona zmęczonych barkach wysłużonej taczki. Od tamtej pory historie snute przez spulchniające ziemię robaki stały się jeszcze straszniejsze, a mała, spragniona towarzystwa dziewczynka musiała znaleźć sobie nowy świat.



## **Zgniłozielonawy korpus**

Po raz pierwszy zobaczyłam martwą żabę. Właściwie nie powinny już występować. W maju owszem, ale nie w październiku. Jednak ona tu jest. Leży przede mną z rozłożonymi nogami przyklejonymi taśmą do szklanej płytki. Poprawiając spadające okulary, zauważam, że lateksowa rękawiczka pękła mi na kłykciach. Pot, który oblewa dłoń, próbuje wylać się przez dziurę na powierzchnię. Nie daje mu tej możliwości, zmieniam rękawiczkę na nową.

W tej sali jest trzydzieści martwych żab i tylko jedna należy do mnie.

Przez uchylone okno wpada rześkie powietrze, które miesza się z żabim odorem. Nie czuję go już, może dlatego, że swoją żabę popsykałam różanymi perfumami. Ostatnie namaszczenie przed wyjęciem jej wnętrzości. Chwytam za zimny skalpel i dokonuję pierwszego cięcia wzdłuż gumiestego brzucha, według zaleceń profesora.

Moja żaba jest zdecydowanie większa od innych. Na pewno jest to uszczypliwy żart wykładowcy, który kilkakrotnie zwracał uwagę na moja otyłość. Myślę o tym, gdy delikatnym ruchem wydobywam narządy zdechłej pacjentki. Najmniejsze ma serce. Szerokością może dorównywać miętowym pastylkom w białym pudełeczku. Zażyłam takich siedem przed zajęciami.

Słyszę, że Olga coś do mnie krzyczy. Nerwowo wymachuje rękami. Jej rękawiczka ma kilka dziur, a fartuch jest umazany krwią. Przez chwilę zastanawiam się, do kogo należy krew. Szybko orientuję się, że obok żaby leży jej palec, z którego uchodzi życie. Olga, moja przyjaciółka, właśnie odcięła sobie palec. Jedni powiedzą, że to błąd lekarski, inni nazwą to wypadkiem przy pracy. Nim zdążę zawołać o pomoc, wymiotuje. Między moimi wnętrzościami dryfują martwe żaby i martwy palec.

Czas się zatrzymał, wszystko zwolniło. Chciałabym stwierdzić, że wszystko mi się przyśniło, jednak niebieska sala laboratoryjna jest nadto prawdziwa. Ile razy tu jestem, zauważam, jak błędnie zaprojektowana jest przestrzeń. Zbyt małe okna przepuszczają niewielką ilość światła, w wyniku czego sala oświetlana jest sztucznie. Lampy migotają nerwowo, niebieskie laboratorium oblane żółtym promieniem przypomina kolor zdechłej żaby. Żaby, no tak, one nadal tu



są. W laboratorium jednak jest tłoczniej. Ktoś się obok mnie przepycha. Ktoś obok mnie coś podaje. Ktoś obok mnie krzyczy. Nagle ogromna sala staje się dla obecnych za mała. Milknę, gdy wynoszą Olgę wraz z zamrożonym palcem. Jej twarz jest blada niczym ściany korytarza, którym teraz kroczą ratownicy.

Muszę wyjść, upewnić się, że zabiorą Olgę w dobre miejsce. Śledzę ich do głównych drzwi. Nim zdążą wejść do karetki, proszę o informację, do którego szpitala jadą. Chcę napisać jej mamie, gdzie znajdzie córkę. Staram się, aby moja wiadomość jej nie zestresowała. Chowam telefon do tylnej kieszeni dżinsowych spodni i wracam do laboratoryjnej sali.

Przypominam sobie, co powiedziała rudowłosa Agnieszka, kiedy czekaliśmy na zajęcia. „Tylko źle nie potnij, bo więcej nie mają”. Zegar wybił 8.00, a my, zaproszeni przez profesora, rozmieściliśmy się między stolami. Po mojej lewej stronie usiadła Olga, nerwowo podrygując nogą. Po prawej sąsiadowałam z Szymonem, brunetem z blizną nad okiem. Do niedawna się przyjaźniliśmy, jednak od tygodnia nie odzywamy się do siebie. To moja wina. Chyba nie powinnam była go odtrącać, kiedy zaprosił mnie na randkę. Przede wszystkim nie powinnam go wyśmiewać. Ale gdyby tak bardzo mu to przeszkadzało, nie usiadłby obok mnie. Może jest jeszcze dla nas nadzieja. Gonitwa myśli sprawia, że nie pamiętam, jak ponownie znalazłam się pod salą. Gdy otwieram drzwi, uderza mnie żabi odór, chciałabym o nim zapomnieć. Kieruję się w stronę swojego stanowiska. Spoglądam na moją pacjentkę, której nogi nadal unieruchamia przezroczysta taśma. Odnoszę wrażenie, że żaba się do mnie uśmiecha.

Siadam na krześle i widzę, że w moją stronę idzie profesor. Coś w jego wyglądzie mnie porusza. Pojawił się na zajęciach w czerwonej bluzie, która wystaje spod białego fartucha. Nigdy nie przychodził tak zaniedbany. Skrojony garnitur, wyprasowana koszula i krawat w kropki były jego cechą charakterystyczną, ale nie dziś. Mam wrażenie, że wraz ze zmianą ubioru stracił swoją pewność. Zmarszczki na jego czole i krople potu na szyi mnie w tym utwierdzają. Profesor pochyla się i pyta, czy wszystko ze mną dobrze. Potakuję głową, dodając, że poinformowałam mamę Olgi, dokąd zabrali jej córkę. Mówi coś, jednak go nie słucham. Patrzę na żabę, która przestała być dla mnie odrażająca. Jeszcze dziesięć minut temu nie mogłam znieść jej widoku, a teraz wydaje się ciekawsza niż mój rozmówca. Nie zauważyłam, kiedy znalazł się obok biurka, twarzą do grupy. Świat żaby mnie pochłonął, jakby powstała między nami jakaś niewidzialna więź.



Z kontemplacji wyrywa mnie hałas. Początkowo nie umiem go namierzyć. Gdybym rozmawiała z Szymonem, pewnie bym go o to zapytała, jednak nadal się do siebie nie odzywamy. Cisza między nami zaczyna mi ciążyć. Postanawiam podjąć próbę wyjaśnienia całej sytuacji. Zrobię to, jak tylko skończą się laboratoria. Spoglądam na zegarek, zostało nam jeszcze trzydzieści minut do końca zajęć. Znowu po sali rozniósł się niezidentyfikowany hałas. Mrugam nerwowo. Widzę, że profesor trzyma w ręce pilot do rzutnika. Uderza metalowym przyrządem o blat drewnianego biurka. Obawiam się, że zrobi dziurę. Szymon jest jednak niewzruszony jego zachowaniem. Chcę się do niego odezwać, ale nim zdążę cokolwiek powiedzieć, dostrzegam, że wskazuje głową na profesora. Zauważam, że hałas ucichł, a pilot leży na biurku obok srebrnego laptopa. – Dziesięć minut. Tyle zajęło mi przywołanie was do porządku. Skoro zdobyłem już waszą uwagę, chciałbym kontynuować nasze zajęcia. To, co stało się Oldze, jest tylko przestrogą dla innych. Powinniśmy jednak pamiętać, po co się tu wszyscy znaleźliśmy i jaki jest cel naszej pracy. Tak więc przestańcie gadać! – W tym momencie jego ton głosu znacząco się podniósł, aż przeszedł mnie dreszcz. – I zabierzcie się do cięcia.

Jak na rozkaz chwyciłam skalpel w dłoń. Kolorem przypominał szablę rycerską, jednak wagą i rozmiarem był od tego daleki. Zabrałam się do ponownego kaleczenia. Miałam wrażenie, że zajęcia trwają wieki. Wydarzyło się podczas nich tak wiele. Straciłam przyjaciółkę, choć bardziej to ona straciła palec. Pocięłam żabę i przede wszystkim podjęłam decyzję o mojej przyszłości z Szymonem. Mam nadzieję, że na takie kroki nie jest już za późno. A żaba ponownie budzi moją odrazę. Jakby wszystko powoli wracało na swój właściwy tor.

Odcinam kończyny i wkładam je do fiolek z octem. Wracam pamięcią do ostatnich wakacji, podczas których razem z Szymonem szukaliśmy czterolistnej koniczyny na łące. Szczęście jednak nas ominęło, wróciliśmy do domu bez roślinnego trofeum. Mam nadzieję, że tym razem los się do mnie uśmiechnie. Profesor obiecał, że osoba, która w swojej żabie odnajdzie złoty klucz, zaliczy przedmiot i nie będzie musiała przychodzić na egzamin, o którym w studenckich kuluarach krążą legendy. Jest więc o co walczyć. Spoglądam na żabę Olgi, z której coś wystaje. Eureka – myślę.





**FELIETON**

## Anita Badyniak

### Planeta

Uczelnia jest niczym przejście podziemne – młodzi ludzie, mimo niebezpieczeństw, które mogą skrywać mury, świadomie decydują się w nie wstąpić. Przejście jest pewnym udziwnieniem drogi, a to, co w nim najciekawsze, to głosy odbijające się od ścian – donośne i zwielokrotnione. Takie głosy towarzyszą mi od pewnego czasu.

Jeden podsuwał, że Bambo czerni się z uporem godnym lepszej sprawy, a Kali zrzekł się ziemi Wa-himów i ucałował krzyż na potrzeby „Kuriera Warszawskiego”. Drugi zapoznawał z laureatami nagrody pana Alfreda – pewna pisarka pełna czułości przemawiała do świata o żywiołach oraz o śmierci, którą przynosi człowiek. Trzeci głos oswajał z genialną pajęczyną języka; odkrywał, że nieznanostwo jej budowy upośledza wolność, bo używamy języka, więc jesteśmy. A jeśli używamy, nie rozumiemy... Kolejny (o niezliczonej ilości brzmień) miał czelność ujawniać – chesność. Tropiciele tanich, importowanych towarów są zdeptywani na śmierć w galeriach handlowych; wyznawcy zieleni o sokolim wzroku utrudniają dostęp do złotego ryżu; anonimowość ulicznego artysty, który rzuca kwiatami, pozbawia go praw autorskich, a koliber z Nazca ma problemy z lataniem, bo jego skrzydło zostało zranione. Jeszcze inny głos zareagował na bieżące wydarzenia, o których mówi świat, i przekazywał, że humanistyka powinna być kimś więcej niż elegantką przechadzającą się z lusterkiem po gościńcu. Winna reagować na bezlady, sukcesy i fantasmagorie. Słuchać i konsultować się, nie obdarzać majestatem własnej osoby. Tłumaczyć tak, by usłyszał lud. W słusznych sprawach przedkładać rozum nad emocje.

Wierzę w siłę rażenia głosów. Ale oprócz wiary potrzebne są trud, by te głosy zrozumieć, oraz praktyka, by pozwolić im odcisnąć piętno. Nie mogę czekać do momentu, aż wyjdę z przejścia podziemnego, muszę się trudzić i praktykować już teraz. Homo sapiens sapiens – to brzmi godnie.

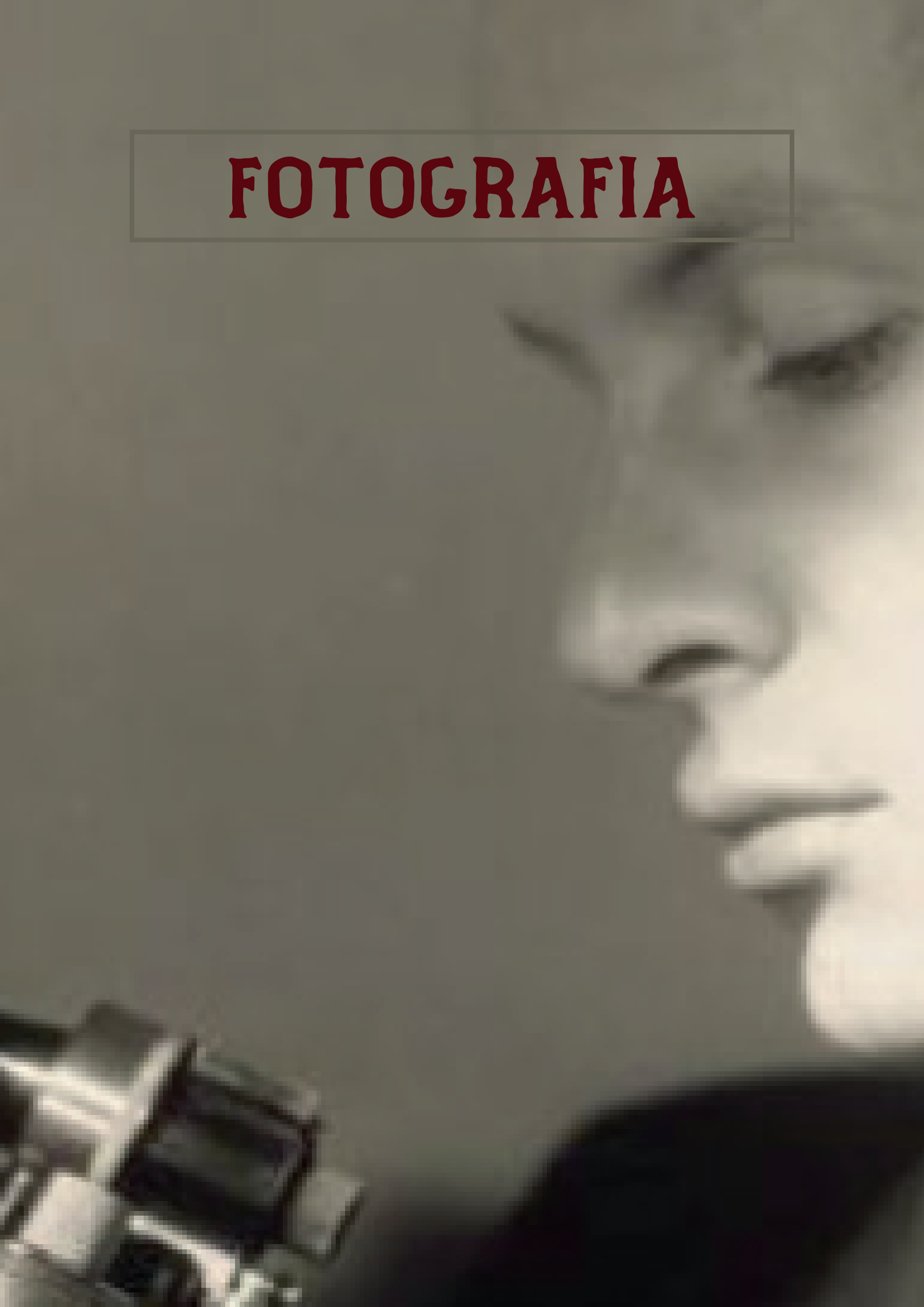




Gdańsk, Przymorze Wielkie, ul. Jagiellońska. Na pierwszym planie budynek w rozbiórce, na drugim – budynek w budowie. Marzec 2022 roku. Fot. Anita Badyniak.



# FOTOGRAFIA





**Bartosz Dłubała**



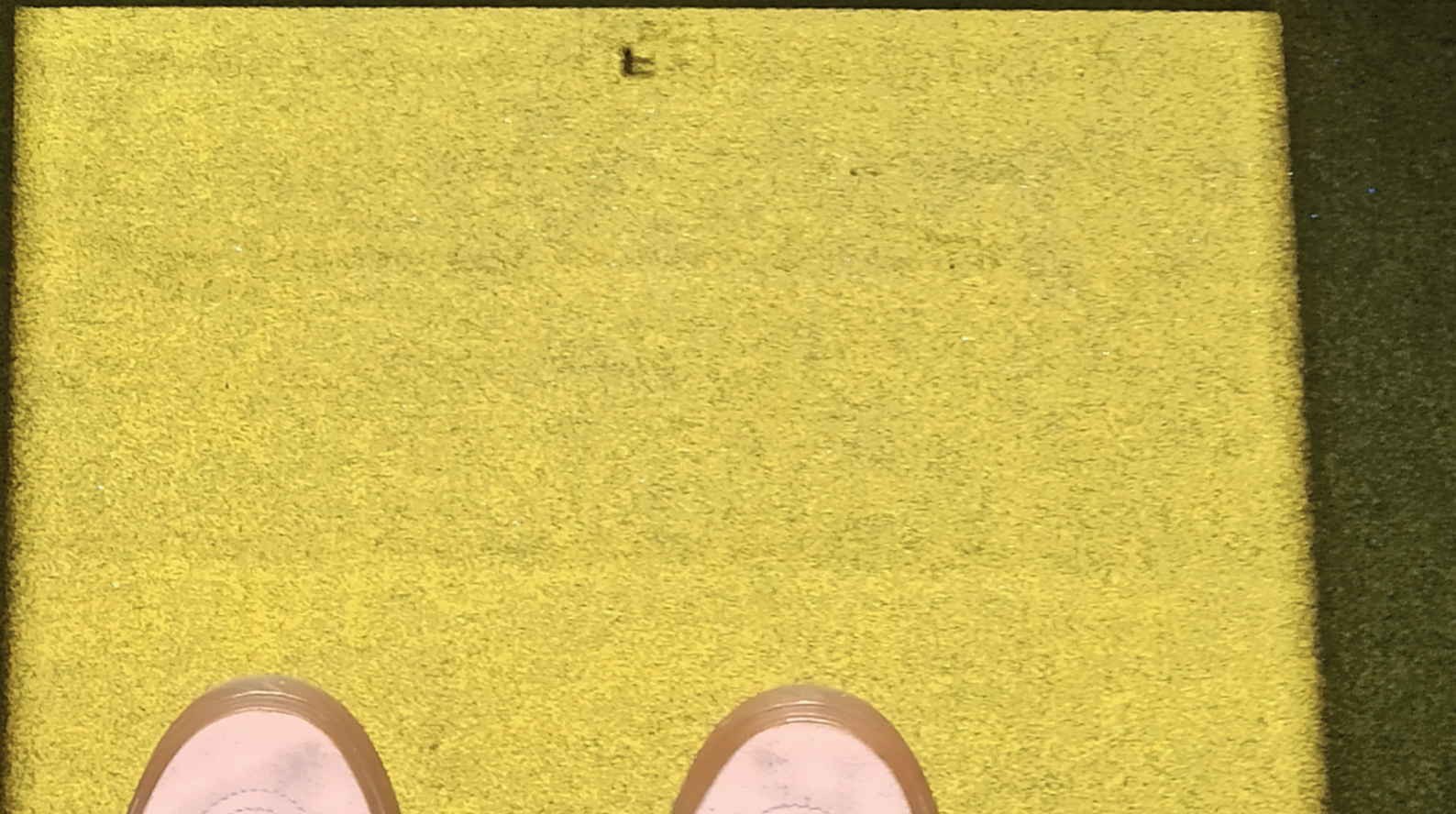






**Róża Piotrowska**













# KOLAŽ



Barbara Kolar  
2007

## Jeanne Duval



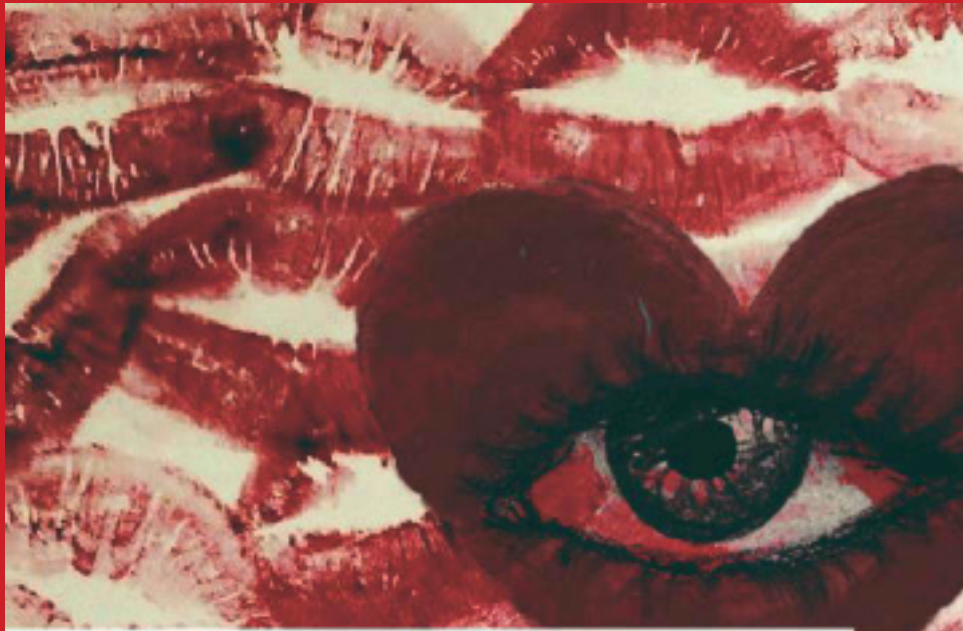
Anuska I will never read Merchant of Venice the same way.

2w

Odpowiedz







**elaine** and that would be the most toxic relationship ever

20h

Odpowiedz



1





"All the News That's Fit to Print"

# The New York Times.

DATE OF PUBLICATION  
1933  
1933  
1933  
1933

Copyright © 2013 by The New York Times Company

1933

1933

NEW YORK, WEDNESDAY, DECEMBER 4, 1933

NY

THIRD CLASS PERMIT NO. 2100

# PROHIBITION ENDS AT LAST! 14 YEAR ERA OVER



! (\*Д\*) (goofyboofy) It's the 1930's in my head and the mafia is out to get me

9mo · Odpowiedz · ❤️ 708 · ⋮

— Ukryj odpowiedzi

\*-♥️-ers-♦️\* girl, I'm in 70s and i hooked up w some guitarists in some band lmao

4w · Odpowiedz · ❤️ · ⋮

Gosia lmao I love this

2mo · Odpowiedz · ❤️ · ⋮

Stijn Plot twist. The mafia isn't your biggest concern in the 1930's 😊

3mo · Odpowiedz · ❤️ 11 · ⋮



## NOTY BIOGRAFICZNE

**Julia Apanasewicz** (ur. 2002) - czyta, pisze, czasem studiuje na UAM w Poznaniu, tęskni za kambrem.

**Anita Badyniak** - podglądaczka krukowatych, cyklistka amatorka, entuzjastka komiksów.

**Paweł Banach** (ur. 1990) - sławista, aktualnie kończący drugi stopień studiów na polonistyce, na UKSW. W poezji zainteresowany szeroko pojętymi kontekstami religijnymi i filozoficznymi. Walczący z przemożną chęcią zadawania w literaturze pytań bez odpowiedzi.

**Agata Barszcz** - III rok Filologii polskiej. Jestem obserwatorką, górnolotnie nazywam siebie antropolożką codzienności. Może kiedyś zostanę nią naprawdę? Wszystko zależy od tego, jak mi w życiu wyjdzie. Nie chcę zapełniać, ale na razie jest dobrze.

**Kamila Chmara** - absolwentka filologii polskiej oraz wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej, która w swoich tekstach odbija fascynację zarówno słowem, jak i obrazem. To

również posthumanistka i cosplayerka, która z dumą obnosi się ze swoją wizerunkową niespójnością i daje jej wyraz w eterze podcastu, który prowadzi („Filologizowane”).

**Bartosz Dłubała** (ur. 2001) - student Wydziału Socjologii UAM, gościnnie publikuje w "AlmanaXie". Poeta i prozaik. Laureat konkursów literackich, m.in. Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Dionizego Maliszewskiego. Interesuje się muzyką rockową, ale potrafi grać tylko na nerwach. *Nasz człowiek w Poznaniu.*

**Jeanne Duvall** - rezydująca w Gdańsku aspirujący filolożka polska (ale po licencjacie). Głównie prozaiczka, nawiązała przelotny romans z poezją, dlatego nazywanie poetką odbiera jako obrazę. Lubi i posiada koty.

**Michał Kołodziejczyk** - lubię pisać i czasami nawet to robię. Nie dać się opętać żadnej modzie, lub nurtowi myślowemu i pozostać obiektywny, to moja misja. Im więcej wiem, tym mniej możliwe się to wydaje. Student Socjologii Poznańskiej.

**Patryk Kominek** (kiedyś urodzony, jeszcze nie umarł) - student polonistyki na UŚ. Wierny wiatrak Jamesa Joyce'a i innych wielkich zmarłych pisarzy. Nienawidzi poezji, dlatego ją pisze i nie tylko. Nie nazywać poetą. W wolnych chwilach, czyli wszystkich pracuje za barem, słucha nieznannej muzyki z lat 80 i zjada żółwie. Interesuje go alkohol, w szczególności robienie własnych nalewek.

**Stanisław Krzymkowski** - z Wrześni. Lubi Kafkę. Nie lubi kawy. W wolnych chwilach studiuje.

**Karolina Pianka** - studentka biotechnologii Uniwersytetu Gdańskiego i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Poza tym - poetka, stale wychodząca z twórczego letargu, zafascynowana pięknem codzienności, którą stara się zrozumieć i okiełznać. Zadebiutowała w antologii Młodej Ostrołęki Literackiej „Otwieranie głosu”.

**Róża Piotrowska**, urodzona wiosną 1997 r. w Łodzi, prozaiczka, autorka scenariuszy, fotograficzka. Filmoznawczyni z UG. Niespełniona flecistka, siatkarka, reżyserka dźwięku, florystka... Miłośniczka roślin i natury w ogóle.

**Paulina Sokólska** - Twoja przyszła ulubiona minirelka, o której nigdy nie słyzałeś. Absolwentka polonistyki UG, obecnie na studiach magisterskich na Uniwersytecie Jagiellońskim. Urodzona w 1999 nad morzem mentalnie - w latach 20, gdzieś na Kresach. Szefowa działu "Proza. W stronę liryki" w AlmanaXie.

**Róża Watracz** - filolożka duńska, sercem na północy, ciałem w Polsce stara się walczyć ze swoim niekorzystnym położeniem geograficznym. Pisze, tłumaczy, czyta. Publikowała w Helikopterze. Fanka kina, fanatyczka kawy.

1 河鍋 曉齋, *Kyosai Kawana-*  
*be, yōkai* (1889) 2 Paul Klee,  
*Geheim Schrift bild* (1934), 3  
Олександр Костянтинович  
Богомазов, *Oleksandr Bohoma-*  
*zow, Tracze* (1926) 4 Leon Spil-  
*liaert, October Evening* (1912),  
5 Max Ernst, *Le Gulf Stream*  
(1954), 6 August Rodin, *Sa-*  
*tyre* (1900) 7 Rogier van der  
Weyden, *Zdjęcie z krzyża, detal*  
(1443) 8 Leonardo da Vinci,  
*Zagajnik drzew* (1500) 9 Otto  
Piene, *Aura Blau* (1967) 10  
Max Ernst, *Nu allongé et per-*  
*sonnage* (1934) 11 Unica Zürn,  
*Zirkus* (1956) 12 Balthus (Bal-  
thasar Klossowski de Rola),  
*Martwa natura z postacią, detal*  
(1940) 13 James Abbott Mc-  
Neill Whistler, *Nocturne in*  
*Black and Gold, The Falling Roc-*  
*ket* (1875) 14 Ferenc Paczka,



*Morto de Atilo la Huno* (5567)  
**15** Frederic Edwin Church,  
*Vision of the Cross* (1847)  
**16** Fragment iluminacji z piętnastowiecznej Francji, obecnie do znalezienia tu: Montpellier, Bibliothèque interuniversitaire. Section Medicine, H 418, fol. 23v **17** 河鍋 曉齋, Kyosai Kawanabe, *Album leaf* (1888),  
**18** George Hoyningen-Huéné, *Henri Cartier-Bresson, Paryż* (1933)  
**19** Unica Zürn, *La Serpenta* (1957)

# ALMANAX

Almanach Twórczości Artystycznej  
Studentów UG

Koło Naukowe Teoretyków Literatury UG

vol. 3 (2023), nr 2 (lato)



patronat:

Wydział Filologiczny UG  
Instytut Filologii Polskiej UG